

Anamorfozy

Kubie

A skoro splot wydarzeń sprawił – gdyż tak się rzecz miała – że w ogóle zostałem poczęty, toteż dokonam żywota również przez czysty przypadek, najpewniej nagle i niespodziewanie. Najchętniej w paroksyzmach śmiechu, Panie świeć nad mą duszą, bo nie masz nic lepszego do roboty ani innego wyjścia. Wierzę w to święcie, bardziej niż Ty wierzysz we mnie. Jeśli nie pęknę, jak wrzód, od rzeczy niewypowiedzianych, to umrę na skręt kiszek, po wypaleniu na czczo całego kadzidła. Zrobię to z niekłamanym zachwytem i upodobaniem, dla własnego bezpieczeństwa i duchowego spokoju; cóż to za głębia kryje się w takim konaniu; zawsze marzył mi się koniec, w którym – wiem, wiem, zgrzyta to nagle urzeczowienie końca, ale nie mam wyboru, nic lepszego nie przyszło mi do głowy – użyję sobie za wszystkie czasy. Zresztą tak czy siak, wszystko sfinalizuje się jednakowo, a jak znam życie, w ekspansji i kumulacji, zgon mnie zdybie w osobliwym trybie.

I dobrze, że właśnie wtedy umrę, w samą porę, w takich, a nie innych okolicznościach, tam gdzie mi dane i pisane. Zwłoka niczemu nie służy. Niekochany – miłość jest również częścią tej książki – ale znoszony od przypadku do przypadku, jak znoszona broszka, już moja broszka, w którą wpisuje się cała ta pisanina – „miłość jest najpiękniejszą tajemnicą świata”¹ – i skazany na śmierć w mękach twórczych – byłbym zmuszony rozstać się z żywiołem organicznej, orgiastycznie niespełnionej namiętności, graniczącej z pierwotnym, bardzo metafizycznym wyuzdaniem, wijąc się między strofami sromotnej kłęski.

Urodziłem się chyłkiem, żeby zabijać ćwieka. Dzieło czystego przypadku w brudnych kolejach świata. Jako reakcja na nieuchronność przeznaczenia (w szaleństwie dziejów) z jednej, i spadek pogłowia trzody ludzkiej (w czasie wojny), z drugiej strony. Na kamieniu, wyrzeźbionym przez wiatr historii w pełnym blasku stulonego cienia. Właściwy człowiek na właściwym miejscu. Meteoryt. Trzeba wiedzieć, że był to poród poroniony, jak gdybym spadł z księżycą. Niestety, docieklivość doprowadziła mnie do zguby, na sam skraj unicestwienia. Jako sierota zdany na przypadek, od płacziwego początku do żałosnego końca, nie miałem widoków na kształtowanie swojej osobowości na pozytywnym przykładzie rodziców, zdany więc byłem wyłącznie na własne siły. Wtedy myślałem, że to coś strasznego, lecz gdybym nie zrobił tego, co zrobiłem, czyli kroku wstecz, nigdy bym się nie narodził jako pisarz. Nawet teraz nie do końca pojmuję, jak do tego doszło, lecz biorąc pod uwagę bezsporną okoliczność, że wreszcie szczęście uśmiech-

¹ Ewa Sonnenberg, *Pisane na piasku*.

nęło się do starego głupca w mojej osobie, wyłoniłem się z tekstów, które powołałem do życia, żeby nie umrzeć z trwogi przed nieśmiertelnością. Urodziłem się, bo nie mogłem oprzeć się pokusie dołączenia do tych zmarłych, dla których życie jest grobem. Urodziłem się w ramach misji specjalnej sam z siebie, ze swego wnętrza, bardzo okrężną drogą. Z poszukiwań związanych z ucieczką w siebie, wskutek wycieczek pod moim adresem.

Urodziłem się w reakcji na ordynarne dobijanie do drzwi i pijackie wrzaski, głębokie jak echo dzwonów bijących na alarm. Od tego czasu chodzi mi po głowie – zagęszczana przez hymny państwowe, podkreślana *hic et nunc* w ślepych zaułkach zaklętych rewirów – kocia muzyka. Mnożąc się przez samą siebie, sprowadza do wspólnego mianownika i wprowadza do obiegu wszystkie akordy, od bicia monet po mordobicie. Ostatnia odsłona właśnie takiego koncertu – trzaśnięcie drzwiami – zamknęła rozdział biografii wyrwanej psu z gardła. Introwertycznie wycofałem się w siebie aż do ostateczności, jakbym już nie żył, unicestwiony jeszcze w zarodku przez to, co stworzyło mnie poetą zajębiście katastroficznym.

Więcej życia zostało w kamieniu.

Swę poczęcie zawdzięczam wypadkowi przy pracy. Ojciec i matka nie przestrzegali przepisów BHP, względnie złapali gumę i od tej pory zawsze mam przechłapanę. Nieszczęścia rzadko chodzą solo, przez to padół ziemski jest odbiciem beczki z kiszoną kapustą: może pomieścić wszystkie naraz.

Urodziłem się na polu, w kapuście, jako kliniczne warzywo pozbawione instynktu samozachowawczego. Ślimaki objadły wszystkie liście, nie skończyłem więc jako gołąbek w sosie i tak mi już pozostało.

Na świat – świetnie do porodu przystosowany repertuarowo, w sensie doboru słów oraz muzyki – który przywitał mnie z wątpliwym uznaniem, przyszedłem na ochotnika, chociaż nijak nie przypominam sobie, bym zgłaszał do niego akces. W rewanzu, przez uszanowanie zdjęłem nakrycie głowy – na nic innego nie mogłem się wówczas zdobyć – niestety zbyt nerwowo miętosłem czepek jednorazowego użytku i tym samym załatwiłem się na dobre, na całe zasrane życie. Prawdę mówiąc, nie miałem wiele do gadania ani stracenia, jednakże nic lepszego nie przyszło mi wówczas na myśl. Dla tego zdarzenia nie było alternatywy ani żadnej kontrpropozycji czy nawet pro-opozycji. Droga powrotu została definitywnie zdefiniowana. Odcięta jak kosmyk włosów zmarłej kochanki, ale to małe piwo, zdolne zmienić każdą ogniskową, każdy priorytet mojej egzystencji.

Urodziłem się z dystansu do siebie. Z pewnego rodzaju paniczną desperacją, żeby zasięgnąć na swój temat języka. Niestety zapomniałem języka w gębie. No to walę głową w mur, ale to groch o ścianę. Kapusta i groch.

Urodziłem się, żeby rozwiązać gordyjski węzeł i przynieść dobrą nowinę. Od tej pory wszystko, co poplątane, rozstrzygam cesarskim cięciem, na dobrą sprawę.

Człowiek staje się kimś ważnym w swoich rachubach, kiedy wylewają się zeń słowa. Odkryłem, że potrafią tańczyć *a cappella*, nie mam tylko pewności czy kpiąc, czy o drogę pytając. Nie wiem czy wierzę choć w jedno swoje słowo przelane na papier, nie wiem,

czy ja się postuguję nimi, czy może one mną? Czasami odwracają kota ogonem, płatają figle, wkracząc w przestrzeń, która właściwie nie istnieje. A kiedy załamują się, unoszone falą przypadkowych skojarzeń, osiągają wyższy wymiar, zupełnie inny stan skupienia. Pod wpływem lania wody mój umysł wypływa na nową, zaskakującej fali przyprływu formy, która najzupełniej zaspokaja moje potrzeby.

Muszę – czy tego chcę, czy nie – odgrywać rozmieszającą do rozpuku rolę amanta. To taki chwyt literacki, żeby wszyscy tarzali się ze śmiechu. Leciwy gość leci na młódkę. Ha, ha, ha! Fantastyczny ubaw od pachwin po pachy dla takiego jak ja, zwariowanego na punkcie robienia sobie jaj ptaka-głuptaka, bo należy mieć jaja, aby iść na całość – swoją drogą warto by tę frazę ździebko wysubtelnić, żeby straciła banalność, ale niech tam, żyje się raz na wozie, raz pod wozem, co mi wyraźnie nie przeszkadza – rzecz w tym, że śmieję się z własnej głupoty.

Chodzi o sztukę absurdu, która nabrała już kształtu w książce. Wreszcie o poczucie humoru w dobrym guście, rozsmakowanie w autoironii cechującej pierwszoplanową postać autora-narratora. W końcu należy do świata powieści, od kiedy wyszedł ze swojego cienia, bo mu życie wyszło bokiem – dlaczego jednym wszystko wychodzi, a innym nic? – gdy wychodził z siebie, żeby nie wyjść na głupka. Jest więc podatny na władzę własnej książki. Nie może uwolnić się od myśli, że i on, i ona jadą na tym samym wózku, którym jest środek do wzniosłego celu. Inaczej nikt nie da za nią złamanego grosza. Nakład trafi do kosza, wysiłek pójdzie na marne, koszmarne.

Urodziłem się w dniu swoich urodzin, których nie obchodzę, bo mnie one nie obchodzą. Gdyby nie to, że jestem dobrze urodzony, to bym się wcale nie urodził. Tak się stało, że nikt za tym nie stał i nic nie stało na przeszkodzie, bym stał się tym, kim jestem, i stać mnie na to, by nie poprześcić na tym.

Urodziłem się, żeby nazywać rzeczy po imieniu. Niestety usta odmówiły posłuszeństwa, by nie strzępić języka, gdy przejrzałem na oczy. Niech żyje wolność słowa – pomyślałem w duchu – nigdy wcześniej nie wychylałem nosa ponad przeciętność, nie umiałem się od niej dostatecznie zdystansować. Już wtedy chciałem powołać do życia kontemplacyjne dzieło, które zmusi czytelnika do refleksji. Przez kilka kolejnych wcieleń trwałem przy tej myśli, a kiedy zbierałem myśli do kupy, zbijają mnie z tropu myśli, że coś takiego może się jednak zdarzyć.

Po wielu latach na marginesie życia, wzięty w nawias, spisany na straty przez czerwone pająki, skreślony czerwoną kreską, wymazany gumką „myszką”, czyli tak, jakbym nigdy nie istniał, przyjąłem strategię przetrwania w samotni, z dala od pajęczyny, która oplata świat i wysysa ludzkie soki. Na własne życzenie poszedłem w odstawkę, usunąłem się w cień. Musiałem się klamkować, żeby nie trafić pod klucz – kiedyś z tej odysei powstanie osobny tom, święcie w to wierzę.

Urodziłem się w windzie, z potrzeby puentowania życia w drodze powrotnej w pizdu, ale czego spodziewać się po piździelcu z marginesu społecznego, zakale ludzkości, antysocjalistycznym antychryście. Wróciłem na łono społeczeństwa, bijąc się w piersi z powodu wyboru, niezupełnie pojmując, na czym on polega. Wszedłem w swoje życie,

żeby nie zawieść oczekiwań pokładanych w sobie, nie będąc sobą ani przez chwilę. Zrozumienie tego stanu rzeczy trwało bardzo długo, lecz gdy pojętem w końcu, wszystko się we mnie odwróciło, nie byłem już tym samym człowiekiem.

Urodziłem się, żeby nie spotkał mnie koniec bez żadnego początku. Idąc jeszcze dalej torem przeszkód, urodziłem się kompletnie zbity z tropu, wprawiony w konsternację. Mianowicie – miałem nóż na gardle. Aborcja – gardłowa sprawa – nie chciała mi przejść przez gardło. Po długim okresie czekania na odpowiednią chwilę zdałem sobie sprawę, że brak mi zimnej krwi, i krew mnie zalała. Narodziny okazały się dla mnie trudniejszym przeżyciem niż umieranie. Urodziłem się, gdyż pękły więzy łączące z cumą. Żywiłem nadzieję, która zawsze umiera ostatnia, że już nigdy do tego nie dojdzie. Niestety, był to daleko idący poród².

Zamiast rozwozić się w nieskończoność nad niuansami tej sytuacji, powiem wprost. Choć coś mnie powstrzymywało, urodziłem się i tyle. Nic nie zaszło. W przeciwnym razie słońce też by zaszło o tej samej porze.

W moim przypadku wszelkie niepowodzenia mają taką moc sprawczą, że wnoszę się ponad siebie i o nic nie wnoszę. Jako uciekinier z mysiej dziury, dezerterski z niebieskich legionów, doznałem rozkoszy ziemskiego raj, do którego wstęp był zarezerwowany tylko dla wybranych. W rezultacie życie weszło w moją skórę i, chociaż dobierało mi się do skóry co jakiś czas, w końcu dobrze mi poszło.

Przynajmniej tak to wyglądało z lotu niebieskiego ptaka głuptaka, w którego wykluciu miała swój udział śmierć, choć poświęciła tej kwestii zaledwie przelotną uwagę. Tymczasem pisarskie śledztwo wdrożone przeze mnie w celu uniknięcia wszelkich niejasności związanych z życiem, utknęło w martwym punkcie. Niemniej zbieżność czasowa obutych przeciwstawnych okoliczności, które bez siebie nie miałyby *de facto* racji bytu i nie mogłyby pojawić się bez współistnienia, nasuwa uzasadnione podejrzenie, że jedna zrodziła drugą. Ogólnie rzecz biorąc, koincydencje niekoniecznie są potączone ze sobą i to na śmierć i życie, co zdaje się sugerować ich współwystępowanie, jednak w tym konkretnym przypadku miało to miejsce niewątpliwie.

Świadczy o tym wyłowiony, wyjąłowany i wyjawiony palimpsest garbowanej właśnie przez samo życie skóry, którą nieprzerwanie zrzucam z siebie lub wypełniam sobą, ulegając chwilowym uosobieniom noszącym piętno tego, kim byłem w poszczególnych okresach egzystencji i kto we mnie wówczas siedział. Wyłowiony ze słów rzucanych na wiatr otwartym tekstem; wyjąłowany przez wycieczki pod własnym adresem; wyjawiony przez zaciśnięte zęby zesłanej przez śmierć ciszy.

Życie, za którym idą czyny, przechodzi moje najśmielsze oczekiwania. Nie sądziłem, że los tak się potoczy, że jedna połowa mnie skoncentruje się na intymnym kontakcie ze śmiercią, której to i owo wyjmuję z ust i przelewam na papier, druga zaś na swoistym transie.

² „Człowiek nie ma jednego i tego samego życia. Ma wiele żywotów, ułożonych kolejno, i to jest przyczyną jego niedoli” – François René de Chateaubriand.